

SANDRA SZWARC

Supernova live

SQUAD:

- MC OSIEDLE
- LASKA
- HYPEMAN
- NARRATOR KRONIKI

OSOBY:

- TWARDOWSKI
- KOMENDANT
- PIĘKNA EDYTA
- KELNERKI
- PANI LEOKADIA Z MIĘSNEGO
- PSY RÓŻNE
- TEN PIES
- LUDZIE GAWIEDŹ
- ZJAWISKA PARANORMALNE

Na scenie makieta Nowej Huty. MC Osiedle, wodzirej tego biforu, ma w rękach lalki reprezentujące bohaterów opowieści. Wraz z rozwojem akcji w tle sceny wyświetlane są poszczególne wątki, w stylu komiksowym albo jak w teatrze cieni. Niektóre kwestie wygłaszane są przez megafon. Hypeman i Laska są członkami squadu, który wspólnymi siłami kreuje całość. Hypeman pomaga MC Osiedlu dokańczać zdania, podbija rymy

i powtarza niektóre wersy. Generalnie wszyscy sobie pomagają, tutaj panuje atmosfera pracy kolektywnej.

Kronika filmowa. Pompatyczna muzyka w tle.

NARRATOR KRONIKI Pod Krakowem powstaje olbrzymia nowa huta i stu-tysięczne miasto robotnicze o tej samej nazwie. Na martwych do tej pory terenach wre ogromna, twórcza praca. Codziennie napływają ze wszystkich stron Polski zastępy budowniczych. Rośnie budowa, a wraz z nią rosną ludzie – przodownicy pracy, nowatorzy i racjonalizatorzy. Zmienia się krajobraz pod Krakowem. Tam, gdzie do niedawna rozcią-gały się łąki, wyrasta najpotężniejsza inwestycja planu sześćioletniego. Tam, gdzie dawniej nie było niczego, powstaje nowe miejsce dla no-wego człowieka. Tutaj nowy człowiek może z dumą patrzeć w swoją przyszłość, którą bierze we własne ręce.

A w Nowej Hucie – polska wiosna.
 Place, rowami przeorane,
 tchną wspomnieniem Komsomolska,
 gdy pierwszy dźwig podnosi ramię.

Urywa się. Dymy, wybuchy, epickie dźwięki rozpoczynające show.

MC OSIEDLE Hej ludzie, dajcie słuch dziś historii upiornej, historii szka-radnej, krwawej, świadectwu epoki minionej, lecz odpornej, by czasy jej tak naprawdę umknęły, bum, przepadły; czasy marne, bo czerwone – ręka, noga, mózg na ścianie, czasy bloków takich samych, bloków swojskich, dla swojaków, z trupem w szafie swojej własnej. Czasy pracy to gorliwej, pełnej potu, mordęg, ryjów nie za ładnych choć pracowitych, ryjów czasem zakazanych, takich, że strach wychodzić nocami, choć to same swojaki, fajne chłopaki i dziewczyny też, ale nie dajcie się zwieść, bo choć ładne, są też z niejednej meliny. Czasy to dziwne, intensywne, w procent ciągle przeliczane, w procent dwieście wykonane, czy się stoi, czy się leży, w procent trzysta zakrapiane, wiadomo, jak jest. Procent tych wciąż trzeba więcej, kto to zliczy, liczyć muszę, liczę wtedy wszystkie ręce: liczę ręce w locie, bo patrzę na to wszystko z góry, znad chmury wszystko widać poważniej, wyraźniej. Liczę, widząc z góry miasto, nówka sztuka, nówka huta, czarne chmury, siwy dom. Las rąk widzę w konstelacjach dziwnych, widzę ręce spod pierzyny, ręce przy stole rodziny, ręce od muru podpierania, czoła hutniczego wycierania, także butelek trzymania, często w bójkach zderzania, rzadziej od kotów ulicznych głaskania, te ręce robią rzeczy różne, dozwolone i zakazane, w końcu nie na wszystko miejsce jest dane w społeczeństwie tak zwanym. Nówka Huta, miasto nowe, las rąk narodowych, żył nabrzmiałych, skóry zdartej. Tutaj wszystko od początku można zacząć, rzucić stare graty i rodzinę zgarnąć do miasta nowego, stawianego dłońmi ludu pracującego miast i wsi, tych dalszych i tych bliższych. Ale wiadomo, nowe ludzie, ale trochę jakby stare, trochę poprzecierane losem, zdarte jak płyta, co jeszcze dobrze gra, jak ta lala, ale już ma bruzdy, guzy, ścieżki wytarte, o które lubi się potykać, na które lubi wskakiwać,

kiedy nikt nie patrzy, jak nie trzyma uszdy. Losów zbrodni pewnej, zapomnianej, dziś posłuchać możemy, sprzed lat wielu, za górami, za młotami, kowadłami, za piecami pełnymi ognia odwiecznego, bum, epokowego. O proszę, jak tu gorąco, jak tutaj wszystko do tego ukropu, do tych pieców ciągnie, jak muchy do rosołu, jak gumę do plomby, jak dziada starego do dziewczyny młodej, co jeszcze ciepłe ciało ma, nastoletnią elektrodę. Gorące to miasto z głową gorącą jak czajnik, tak się przecież urodziło, na świat przyszło, we wrzeniu, w ogniu powstało, kute na siłę, kiłę, moglię, i to wszystko na ludzi przeszło, w ciała się wbiło, powykrzywiało formy, przez to szwankują normy, temperatura wysoka, pękają termometry, pękają żyły na skroniach, bo to miejsce to żyła złota wypruta, gorączka tu panuje, moc tysięcy atmosfer nas otacza, umysły najtęższe przejmuje i rozżarza, o kryminal zachacza. To miejsce wybuchu kosmicznego, wydarzenia międzygalaktycznego, gdzie gwiazda wielka wybuchła i od niej wszystko się zaczęło, w świat chlusnęło, jak mąż jakaś, co wszystko obkleja i pozbyć się jej nie można, od czasoprzestrzennego wybuchu administrowanego, ale numer, początek miasta socjalistycznego, tak, dobrze słyszycie, gówniarze, takie były czasy roku czterdziestego któregoś, może pięćdziesiątego, jebać kalendarz, nieważne dokładnie jakiego. A to Supernova, Supernova jest, gwiazda ideowa, ona rozświetla całe niebo, podobno początek zapowiada czegoś świeżego, ciekawe, moi mili państwo, co wyniknie z tego dobrego, nie mówcie teraz hop, hop kolego hop, wiadomo, jak jest. No i co teraz, kolego, spytacie, język suszycie publicznie, bzdury gadacie, spadam na chatę do domu idę, pod dywan zamiatam, tam stara czeka z browarem, he he, nie będę stał za barem i czekał na this is the end my friend, ale chwila momencik, ja mówię stop, tu się dopiero rozkręca fabułka, taka regułka, że najpierw wstęp a potem występ, dopiero bohater wjeżdża, będzie tu non stop aż do końca, na tropie zbrodni będzie, aż do ostatniej kropki, aż skończę to orędzie.

Patrzcie go, jak wjeżdża do miasta Nówki, pełen ambicji, jest chłopak w końcu z przyjaznej lokalsom milicji, może jest trochę niepewny, trochę się boi nowego miasta, ale myśli, będę ratować miejscowe królowny, będę na straży stać jak rycerz dawny na polu bitewnym, zwycięstwa swego pewny, w mundurze ze stali nierdzewnej, najlepiej na miejscu kutej, lokalnej, spekulancctwem nienadpsutej. Jedzie do nas z miasta Kraka starego, po sąsiedzku trafił, porzucił Smoka na rzecz pieca hutniczego, tak go przydzielili, służba nie druźba, taka już wróżba nad nim zawisała, skoro już gwiazda bystra nad miastem rozbłysła i wokół pryska, przyszła kryska na naszego matyska.

Wielkie zepsucie w tym mieście panuje, betonowa dżungla pochłania, zmysły przekręca, ludzie rujnuje, tajemnica poliszynela a może i nie, a pół kraju plotkuje, co tu się dzieje, ludzie giną, w noc gęstą często i kiedy już dnieje, trup się ściele, bo takie tu trele czarne nowele, że włos na głowie siwieje, a Nówka goreje poświatą krwistą. A Twardowski jedzie, tak mu na imię było, co, teraz się śmiejesz, że takie lamerskie nazwisko, a to się świetnie, cwelu, złożyło, bo Twardowski był z księ-

życa egzemplarz, kosmita, co chciał być bohater i wszystkie zło rękami pętać, a tutaj zła wylęgarnia, dno dna i pięć tirów mułu, przynajmniej tak mówiła cała krakowska psiarnia, to jedzie, cały ten rozpiździał ogarniać, co ma robić, jak godzina dla milicji nie w porę czarna. Idzie na komendę, mówi dzień dobry, tutaj zło zwalczając przyjechałem, bo taką dyspozycję z mojej kochanej komendy dostałem, od paru lat robię w kryminale i nie ma żadnych ale ale, tak tak, choć mam pracy nawałę, nie chwaląc się, idzie wspaniale, efekty mam dobre, słupki skaczą, choć to gorzki chleba kawałek, dajcie mi sprawę dużą, gdzie męty się ze dna wynurzają, w gównie ufajdane, ja się odważę, aż bandziory się nauczą, zobaczą, kto w mieście rządzi, z występku paskudnego, fuj, się gnojki niemyte ocuca. Ale ejże towarzyszu proszę bardzo, masz tyle w sobie animuszu, mam komendancie, nie jestem z pluszu, buszu nie boję się też, jestem ze stali kuty, stali narodowej, prawdziwy milicjant takie ma atrybuty. Jesteś, synu, w środku szarpaniny kryminalnej, specjalnej, co za palant cedzi pod nosem, ale niebanalnej, masz tu jedź do młyna Lelita, niech na zwłok oględziny pomyka, zobacz miejsce zbrodni prawdziwej, nauczysz się życia, dzieciaku, skoro taki z ciebie zbrodni Guliwer.
Czas na melodię.

LASKA O tak, to nasz sierżant lwie serce, mocny jak herbata z trzech torebek, patrzcie, jak idzie prężnie, całkiem potężnie, kiedy sprawę jakąś weźmie sierżant w swoje dwie ręce, nie na rękę będzie to typom spod gwiazdy bydłowej, ręka rękę myje, mówią, w sensach dłubią, ale chodzi też o coś więcej, bo ten typ chce zrobić coś bez ciągłych tępych chachmęceń, tak powtarza wciąż pod nosem mantrę pełną zakręceń, sam do siebie gada z wyrazem twarzy cielejącej.

MC OSIEDLE Idzie ulicami miasta, jasna sprawa będzie, choć niekrasna pewnie, myśli, zło zwyciężę i basta, i tak papple pod nosem, słowa mamle, językiem trzaska, z mleczkiem to będzie kaszka, mlask mlask. Mija w drodze sklepy nieliczne, a półki w szwach pękają, dziwią go walory ekonomiczne, w końcu o Nówce mówi się w kraju sceptycznie, chociaż wręcz fabrycznie to tutaj wszyscy uśmiechnięci są, Twardowski też banan na twarzy trzyma, twarz się pod owocem wygiętym ugina, rozciąga zmarszczki mimiczne, choć stara się chłop patrzeć detektywistycznie, perspektywicznie, ale ten dobrobyt zagina, pały się nie trzyma, ale zaraz zaraz, hop hop, w końcu Nówka to socjalistyczna rodzina, laików najgorszych zdumienie wytrzyma, tu mienie wspólne i w dobrach brodenie, bum. O, pomnik Lenina!

Partia i Lenin – bliźnięta-bracia
kogo bardziej matka-historia ceni?
Mówimy – Lenin, a w domyśle – partia,
mówimy – partia, a w domyśle – Lenin.

MC OSIEDLE Wódz z chlubą spogląda na Nówkę dobrami napchaną, pękatą, kroczy dostojnie, on w nią od zarania wierzył, choć ją wszem i wobec besztano, pomyj karton wylano, a tu proszę, kielbasy,

w witrynach sklepowych frykasy, w naręczach ananasy, brzucha wypasy, szałasy tu nie stoją, tylko domy szklane, architektura niemal neoklasyk. To imponuje, to zachwyca, w Kraku Starym witryna tak oka nie nasyca, wyobraźni nie tuczy, wniosek prosty, ktoś brzydkie plotki podsyca, fama Nówki z palców wyssana, z czapy wybrana, ktoś fałsz i kłamstwo za granice jej przemycyca, figuranci zapluci tu niszczą narodu kredyt zaufania, a jak.

Panikarska plotka krąży, wzbudzając ferment,
nierzadko wychodzi poza granice kombinatu i miasta,
zmienia twarz, zmienia faktografię, pozostawia niepokój.

MC OSIEDLE Dzieci szczęśliwe tu są też, może pucółowate trochę, ale jak ktoś lubi jeść, to do pracy ma ochotę, fest będąc z nich pożytek, tako rzeczce wieszcz, jak im przyjdzie zdać robotniczy test, efekty będą simply the best, better than all the rest, to wpieprzają pociechy kiełbaski, pęta na szyjach jak ozdoby noszą, a z ust trzeszczą mlaski, mniam mniam, „mamusiu, krakowskiej rzuć więcej dla klaski”, i biegają po szkolnym podwórku, może dziwna moda na takie opaski, ale jak dobrobyt, to inne życia radości i blaski. W ogóle ludzie tu dosyć pękaci, ruch na ulicach mały, gęstość populacji w innej postaci nadrabiają, robotnicze ciało wcale niewybiedzone, raczej nie jest go za mało, tam pan stoi grubawy i cień rzuca na tutejsze murawy, a tu pani pękata na ławeczce siedzi i podnieść się nie może, o uchwyt się zapiera, o Boże, zaraz się przewróci i przygniecie dziecko, bachorze krzyki usłyszymy na dworze, ale nie, odbiła się od chodnika jak piłka, nie pękła jej żyłka, a Lenin na to patrzy i oko z uznaniem przymyka, mruczy nad bródką nasz maszynista postępu, to z dostatku wynika. Takie duże ludzie to dużego ducha mają, jest o co walczyć, to mają armatnie ciało, Twardowski tu jak przybysz z planety Pająk, bo wychudzony, kończy ny chude od korpusu odstają. Twardowski powoli na miejsce zbrodni dochodzi, dzieci grube i tłuszcz z rozmyślań odwodzi, myśli sobie Lelita, męczy to słowo w myślach, mieli zlepek liter, masa słowna sens traci, zbrodnia jeszcze nie przyszła. Już dociera do celu, głowę wietrzy z wszelkich duperelów, patrzy, co to za miejsce, no tak, młyn przystary, zgrzybiały, mógł nie spodziewać się oprawy dawniejszej, tłumek wokół zebrany, zaraz wszystko sprawdzi, a ludzie coś paplawszy, spojrzenia wymieniawszy, dyskretnie na widok sierżanta się łokciami szturchawszy, my tu przypadkiem, my tu tak tylko, ja z dziećmi latawce puszczałem i tu zaleciały przed chwilko, ja, panie władzo, tu mieszkam za wałem, ale nie widziałem nic, ja też, ja też nic nie widziałem. I wszystko to grube, tak stoi i joczcy, ich słowa wachlują nad łbami jak proporczyk, z tych spowiedzi zbiorczych, z tego tłumu wnioskuje głupiego, oho, tu się dzieje coś poważnego, młyn choć stary, nie należy do modelu bajkowego, raczej mroczne to miejsce, ponure, bure na potęgę, i do tego co, smród wyczuwam ordynarny do liczby entej, co tu tak śmierdzi, krzyczy, zrobić mi przejście, z drogi zejście, macie zajęcia cenniejsze

niż zagradzać obejście, wnet patrzy, dech traci, iść przestaje, obrazkiem makabrycznym jak batem po oczach dostaje, bum. Twardowski blednie, nie nie, na co ja patrzę, co moje piękne oczy oglądają, jak nocami teraz będę spać, czarno to widzę, durna moja mać, sam zaraz trupem padnę, to widoki niestrawne, ale truchło nie gryzie, zapomnij o trupiej bryzie mięczaku, przecież nie mogę się bać, nie nie, Twardowski, opamiętaj durniu się, jak za chwilę zasłabniesz, wylądujesz w zawodowym bagnie, człowieku, opanuj się, i tak sapie, i tak dyszy, co nie. Co to był za obrazek, co tak waliło nieładnie, coś tam więcej być musiało niż flaczki bezładne, tak tak. Posłuchajcie, to landszaft diabelski, płacze w tle chór anielski, archanieli oszaleli, kobiety lamentują, psy bezpieczeństwa zawodzą, na obiad się schodzą, he he, bo tam zwłok rozczłonkowane części leżą, do szpiku kości gołe, z mięsa obdrapane ludzkiego, gdzieś kawałek ręki dodam do tej udręki, dalej trochę wnętrzości, jelit barokowe wspaniałości, większość gnatów dobrze wyczyszczona się przewala, błyszcząca, by nie było wielu pozostałości po akcie brutalnym, masakry ciała, zewie penalnym, dalej uda kawałek rzucony, z wilgoci już napuchniętego, barwy, kolory tęczy nabierającego, nie chciałbym wąchać tych perfum, co to, to nie, a Twardowski musi, kości zostały rzucone, przeszedł na śledztwa Rubikon, wszystko rozbebeszone, zastygł w pozie skruszonej on.

LASKA I co teraz, taka afera, co za zgon, świat czarno-czarny potrzebuje bohatera, a jego duszę rozdziera, tętno powyżej ustawy, ciśnienie na mózg napiera.

MC OSIEDLE Dajcie wódki mu, bo chłop zawału dostanie, i runie przyszłe uznanie, blaski jupiterów zgasną, zanim skończy się ta logorea, między tkankami rozdartymi będzie the end of the kariera, a ciała ogłędziny zrobić trzeba teraz, ale bieda, co to za kawałki poszarpane, kawałek korpusu, z ciała falbanek detale rozbryzgane, chwila, szaleństwu stop, czas teraz na pracę, a nie wewnętrzny mrok, patrz no, ten fragment ręki jakby ugryziony, kłami jakimi rozdrobniony, może to jakaś bestia tego typka biednego, z wyglądu robotnika prostego, dziabnęła, gdy przysnął zmęczony pracą dnia codziennego, mękami życia styranego, że hej. Ej, a ten świstek z poły płaszczka wystający to co? Może poszlaka jakaś, może jakieś clue? Jak z filmu amerykańskiego fragment układanki, fabularny super glue, tkanego jak wianki scenariusza precyzyjnego? Tam program jakiejś knajpki niezłej sterczał, w kieszeni tego, co pozostało z niego, święć panie nad jego duszą, dobranoc kolego. Poza tym niewiele, jakieś z kieszeni wypadły bagatele, kości do gry, portfel pusty, może to przykład napadu rabunkowego kiepsko ukończonego, i co do tego jeszcz, zdjęcie zostało, pod szybką z plastiku kimało, małe, ale ładne, z niewiastą niestara, raczej młodziutką dzierlatką, na oko Twardowskiego równolatką, aż dech zatyka, zdjęcie podpisane, patrzy na odwrot „z miłością, Edyta”. Biedna dziewczyna, pewnie serce sobie wyplacze, może siedzi i myśli teraz, kiedy chłopaka mojego zobaczę, kiedy w miłości omdlenia wpadnę pałace, ech, ech, co to zostaje z żywota człowieka, gdy pobłądzi gdzieś, i go siekną żywego.

Technicy chodzą, wszyscy głowami z niedowierzaniem kiwiają, tak tak, co za świat, rak nieborak, myśli cudze połykają. Tropów parę, pomysłów bez liku, który podjąć, postawiłbym groszy tycio na garść typów, jedno jasne – trza się wybrać do Meksyku, to tej knajpy w truchle była ulotka, może jego znajomków spotkam, poszlak znajdę kram, co to za lokal, czy to miejsce tegich chlań, pyta techników, ci milczą, ślinę przełykają, powieka im mruga, i szepczą „nie idź tam pan, to diabła otchłań”. Twardowski skrobie, notuje, ręka mu drży, coś z kimś mówił nawet sensownie przez chwilę, ale teraz już nie wie nic, pieprzy wersy ponure, w ciszę zapada, choć w środku czuje, że wyje stado wilków, może cała gromada dzików, w kwestii osobników czy gatunków jest wersji bez liku. Sam sierżant potem nawet nie wiedział, co się z nim działo, ze sceny zbrodni zszedł jak w amoku, oczy wyszczerzał, o butów sznurowadła się potykał krok po kroku, hop w krok, do tego zaczęło go coś kłuć, nerwobóle czy coś, a przecież zdrowy był, testy sprawnościowe zrobił i wciąż kondycję dobrą miał, tak mu się przynajmniej wydawało, może za mało biegał, tak się od dawna obawiał. Za duże to miasto dla niego, śledztwo podobne zaczyna być do matroszki, za dużo emocji, sierżant temperament ma bynajmniej nie latynoski, nie lubi różnorodności, uderzeń gorąca aż po końców włoski.

Ściemnia się nieco, noc nadchodzi czarna, Twardowski błądzi tu i ówdzie, co za karma, czuje, że stopniowo traci urok żandarma, ślania się, chodzi po tym mieście jeszcze niedorośłym, mrok świat ogarnia i wysysa, płaszcz późnej pory bezlitosny, wszystkie lęki na wierzch skóry wysypuje jak krosty, wysypkę przebrzydłą tworzy, marami, snem morzy, jej się nie pozbędziesz, nie drap lepiej, szkód natworzysz, efekt będzie daleki od nieba gwiazdzistego, marzeniem ściętej głowy upstrzonego, tak. A gwiazda naparza na horyzoncie, umiaru nie zna, po oczkach mu daje, ale go wkurwia, i Twardowski szalowi ciało sprzedaje, taka jesteś cwana, gwiazdeczko, myślisz, że jesteś wielka, macha ręką, to chodź na słóweczko albo słówek kilka, co, nie podchodzisz, sam do ciebie, łachudro, przyjdę, co, myślisz, że zrobisz ze mnie fiksum dyrdę, w mózgu wyrwę, wyjdę ci na spotkanie, gdzie leziesz, blednijże gwiazdko podła, efemerydo pieprzona ogoniasta, myślisz, żeś mnie zwiodła, albo może nawet uwiodła, patrzcie ją, jaka żarówka nadobna, ho, ho, za ogon cię chwyć, zobaczysz skutki, na Twardowskiego zamierzasz się, pieprz się, wypad, ele mele dudki. Rącho się zerwał, w pęd puścił, dla gwiazdy lejce popuścił, biegnie, ciało niebieskie tropi, jak mędrzec, co go kiedyś wiódł do dzieciątka podniebny światłopis, biegnie teraz na swoje over the rainbow, rzy przy tym jak koń, co się na wyścigi ważne spiał, ale dżokeja z grzbietu strząchnął, taki urządził one man show, a rozproszył się jak elektron. Co to teraz, knajpa przed oczami wyrasta, sierżant gwiazdę z oczu traci, już na miejscu jest, nieprzytomny, basta, basta, okolica krzaczasta, no to mamy dramacik, mały dylemacik, o, a gdzie to nasz pan trafił, co to za klub, co to za miejsce, okolica niesławna, tu się granice miasta kończą, oho, fantazmaty na scenę wkroczą w mistycznych pozach brocząc, a jak, kto tu wchodzi, niech porzuci nadzieję

nieuroczą, bo tutaj nie dotarły żadne prawa, władza żadna, tylko Meksyk wolny macki roztacza.

LASKA O, Mexico, Mexico, ostoja zbójnikom, miejscowym pracownikom, łachudrom, na fajrancie hutnikom, noże w powietrzu latają, kobiety w panice uciekają, bez pepeszy tu nie wchodzi, po nosie dostaniesz cios, mogą cię też w żebra dźgnąć, taki parszywy los cię tu czeka, chyba że chcesz w to brnąć.

MC OSIEDLE Luzujcie majty, szykujcie karabiny, chowajcie hajs, teraz będzie odlot, teraz będzie cały ten szajs, w to miejsce nie wejdiesz bez spiny, zbrodnia wchodzi w ludzi jak nóż w masło tu, łatwo jak kobity lekkie wychodzą na miasto, bez pytań zbędnych, jak w mordę szast prasło, miasto tak mówi całe, cholero jasno. Bohater wargi oblizuje, patrzy na przybytek, jak niedobitek na tej prowincji, tak się czuje, choć jest z milicji, on tu prawo stanowić powinien, a tymczasem rzy z niepokoju, sprawdza zapas amunicji.

W domu zostawił.

Chuju, śledztwo prowadzisz, ale z ciebie klawisz, w mordę pluje sobie, dam ci kiedyś w pysk twój, kretynie niebieski, nic nie poradzisz, jak w mózgownicę wcześniej mądrości nie wsadzisz. Decyzja męska – wchodzi do Meksyku, tam mnie rozpieprzą, z ciałem zrobią fiku miku, żegnaj obcokrajowczyku, i nikt nie zapłaci przy takim pajacyku, co to broni wziąć nie wziął, ejże, co za typ, sam się zbił z pantałyku. Koniec heheszkom, za klamkę łapie, i Meksyk wolny pokoje swoje ukazuje na wyobraźni krzywej mapie.

Co tu za piękne zapachy, jakie luksusy tuczne, z daleka niewidoczne, to stwierdził sam naocznie, a w środku Francja elegancja, co za nonszalancja, a z zewnątrz barbarzyńska żuli stancja, parszywa jak cała biblija szarańcza. Ludzie elegancy siedzą, melina to to nie jest, skąd ten pozór zewnętrzny, i co tu się dzieje, Twardowski japę wyszczerza, nie dowierza oczom, przybytek rozpusty spokojny przeuroczo, jak knieje dawne cyk cyk cykoczą. Kelnerka krzyczy „numer dziewiętnaście”, a z zaplecza wyskakuje mięsiwo kraśne, parujące sosem, polewą skąpane, porcja jak zubr wielka, co padł dźgnięty, konając na polanie. Pani Irenka to nam nie skąpi, a co mam skąpić, jak stać, to kładę aż talerz nie ustąpi, okej. Za nim wyjeżdża konstrukcja z mięsa, hm, o tak, wziąłbym sobie kęsa, i ty też wziąłbyś, i Twardowski też, zanurzyłby w nim wąsa, czasu ma wiele, by śledztwo roztrząsać. Sałaty, owoce egzotyczne, nie tak nieliczne jak w innych kraju miejscach, gdzie statek z cytrusami daleko ma, by do portu wjeżdżać. Skąd te porcje gigantyczne? Nówka taka piękna, bogata, myśli jego euforyczne, i w knajpach krakowskich marzyć można o takich aromatach, skąd ta plotka, że Nówka to jest jak szmata, ulice zmiata, a wszystko tutaj czym chata bogata? Ludzie tłuściutcy, szczęśliwi, wesolutcy, to znak, jak społeczeństwo umie się dobrem dzielić, i razem działać, Nówka przykładem może służyć, a jakiś reakcjonista chce spokój pogłoskami niecnymi zburzyć. Nikt Twardowskiego nie zna w sumie, a zamówię sobie coś, tak w moim rozumie coś mi podpowiada, nie będę stał głodny, jak wokół biesiada, o nie.

Siada do stolika, krzyczy butlę wódki, patrzy na wszystkie wokół dziwne ludki ufoludki, czeka, jak na stół wjedzie danie, że mózg się lasuje, rozsądek stanie. „Numer dwadzieścia” idą doń dwie panie, i gałom nie wierzy, jakie one silne, że doniosą pięknej strawy ciężar na nich. Kupa żeber, wielkich jak u wołu, dobrze, że do stołu nikt się nie przysiadł, ale pospołu to by się kompan przydał do wyzerki takiej, nie byle jakiej, jak ja zjem to, rety, od stołu nie wstanę od tej gastro strefy, aż kiszki mi pękną, ale chwila, jedz Twardowski a oczy miej jak lunety, co każdą nieprawidłowość wypatrzą, w końcu nieboszczyk tej knajpy menu miał w godzinę ostatnią. Żarcie wspaniałe, nic się nie dzieje, rozmowy dość ciche, ktoś dyskretnie się śmieje, ojeje, je, ja tu nie widzę nic podejrzanego, a żarcie jest niemożliwie dobre do tego. Mieli mięso w pysku, zdziwiony wciąż, że nie podpadł meksykańskiemu towarzystwu, ale broni nie trzeba, skoro kultura, spokój, peace and love wokół, mięso doskonałe, smak poznać próbuje, ale nie wie wcale, czy to kurczak, czy to coś z indyka, zapytać, nie, nie zapyta, nie będzie robił z siebie ignorancika. Kelnerka wyszła, coś anonsuje, gawiedź się cieszy, oho, czuję, że teraz coś się wydarzy, drapie się po twarzy, drap drap, podniecenie na sali, pierwsze gwizdy nieliczne, fiu, fiu, antrak w strawie, czas na występy artystyczne. Wychodzi zza kurtynki niewiasta w półcieniu, światła zmienili, chcą pomóc wrażeniu, kobieta w oparach tajemnicy spowita zawsze do duszy głębiej wnika, Twardowski w ciemność patrzy i rozpoznaje, to piękna ze zdjęcia Edyta, o cholera, to piękna Edyta, tak piękna, jak piękno w definicji słownika. Włosy blond gęste, jak gwiazda na ekranie, włosy Villas Violetty w blasku światła skąpane, Edyto Piękna, Piękna Edyto, serce wszystkich panów kradniesz na cito.

PIĘKNA EDYTA (*śpiewać zaczyna. Pięknej Edyty song*)

Na stacji kolejowej

panna Jadzia w bufecie

taka ładna, kiedy poziewa,

taka ładna, kiedy nalewa...

Uwaga! Wróg podsuwa ci wódkę!

Tu na pewno będziesz otruty,

panna Jadzia ściągnie ci buty,

taka ładna, kiedy poziewa,

taka ładna, kiedy nalewa...

Uwaga! Wróg podsuwa ci wódkę!

Nie jedź, chłopcze, do Nowej Huty,

bo po drodze będziesz otruty,

niech ustrzeże cię plakat węzowy

i w żołądku dorsz narodowy:

Uwaga! Wróg podsuwa ci wódkę!

MC OSIEDLE Szał się zerwał, widownia wrze, racja, słuszna narracja, taka środkowo-wschodnia nacja, trzeba napić w końcu się, lejcje lejcje, zlu-zujcie lejcje, co za głos, co za wdzięk, sierżant zachwyty toczy, czacha pęka, sierżant nam z zachwyty pękl. To znaczy nie tak na serio, we-wnętrznie może coś w nim pękl, granicę przekroczyło wszelką, lecz

nie daje się porwać zewnętrznym swym menażeriom, emocji histeriom, nie chcąc wdepnąć w jakieś inferno. Edyta ze sceny schodzi, aurę za sobą wodzi, choć to tylko epizodzik był, tym szaleńcem dziewczyna dowodzi, wzrokiem po sali powodzi, preludium małe, a nosem wszyscy śledzą, niby ją malował Rafael, proporcje doskonałe, gdyby rzuciła rękawiczkę, ideał, u stóp leżałaby jej Nówka teraz, a przynajmniej ta część jej, co woła, o, nasza Dulcynea, bądź moja, spójrz na mnie, krocząc po lśniących krajowych linoleach, lepiej spójrz tutaj, jam nie bajerant, mowa ma szczerą, gdy na ciebie patrzę, pęka ziemską stratosferą. Twardowski przyczaja się wypytać ślicznotkę, ona kroczy lekko, tanecznym kroczkiem, i biodrem buja

nim buja

biodrem buja.

A jak.

Biodra garść rzucają hipnotycznych unoszeń, a ona wychodzi na, a co to, papierosek, no cóż, takie życie, ideał lubi skryć nosek za szary obłoczek, wiadomo, jak jest.

Patrzy jej w oczy, w głąb duszy spogląda, naoczna działa Twardowskiego mikrosonda, Edyta nieprzenikniona, niezgłębiona, otchłań jej wnętrza liczona w bilionach, a może świetlnych latach, gwiazdzistych odległych brokatakach, i weź teraz człeku prosty pytaj o denata.

TWARDOWSKI Milicja obywatelska, szanowna obywatelka Edyta Piękna, niech pozwoli na słówko (czas na mój cel pal).

PIĘKNA EDYTA Panie władzo, co jam winna, słabą kobietę przydybać ławtwo, delikatnam niczym komórka roślinna.

TWARDOWSKI Delikatność twa niech mnie nie zwodzi, to na trzeźwy osąd szkodzi. Czy znacie, obywatelko, twarz ze zdjęcia denata? Czy portfel rozpoznajecie?

PIĘKNA EDYTA Denata? Co to znaczyć ma? Ta twarz brodata to mego brata facjata...

MC OSIEDLE To się lzy polawszy! I oczy jej mokre, zroszone, kap, kap, strumieniem poszły, i płakać zaczyna, bo wie już, coś mu się stało, szambo tego wylało.

PIĘKNA EDYTA To moja rodzina!

MC OSIEDLE I głos zarzyna w rozpaczy perzynach, płonie, płonie! I żar ją z nóg ścina, a Twardowski tłumaczy biednej, gębę wygina, no tak, oszołamiąco piękna sztuka, co za dziewczyna, z płócien dawnych zleciała, w zbrodni się zew zaplątała, ała.

PIĘKNA EDYTA Nie widziałam go od rana.

TWARDOWSKI Tak tak, strata niepożałowana, ale motyw, podejrzani, wrogów jakichś miał brat ukochany?

PIĘKNA EDYTA Dobry chłopak, do pracy dwie ręce miał, pijany nie chodził, a mój Boże, brat mój sfiksowany, pokrajany...

MC OSIEDLE A Supernova promienie swe wysyła na twarz Edyty, łez wyciskaczki, miasta pierwszej faworyty, świeci mocą magiczną, ekstatyczną aurę tworząc, ona płacząca, nosem ciągnąca, a sierżant wypytać próbuje, w świetle gwiazdy wygina się, pozy przybiera, ale cholera jasna,

czuje, że nic nowego, że tęga afera i nic z tego do laski nie dociera. Kelnerki wyszły, słysząc lament, pan nam Edytkę zasmucił, tu chłopcy się zemszą dla niej, wody dajcie, trza by ją ocucić, a ona na to nie nie, szanowne panie śledztwo prowadzę, tajemnicy obowiązek, więcej szanownym paniom kelnerkom nie zdradzę, chryi robić nie radzę. I pył gwiazdowy ich otaczał, wszystko wirowało wokół, świeciła się Nówka glaca, płacz Edytki miasto okrążył, jak bumerang, głowy obracał, w pyłe dziejowym, w łez jej oczu mlecznych błędzących, tragedię opiewających, drogi obficie nawilgacał. Co robić, kiedy śledztwo w miejscu staje, rozmowa nic nie daje, ludzie w knajpcie też oczka wyszczerzają ze zdziwienia, to miły chłopak, brał wszystkie hutnicze zlecenia, Meksyk śpiewki swe powtarza, nikt nic nie wie, wszyscy gęby na kłódki chyba trzymają, ogólnie to trza.

Wraca do domu, zmęczony skonany, jak noblowski dynamit wielkie miał plany, a tu ciała dał, tyle ludzi przesłuchał, taka rozpierducha, cały Meksyk wypowiedział, a tajemnicy spowiedzi trzymać nie musiał, żadna szarada, żaden lot, proza, rzeczywistość, przypadków pewnie splot.

LASKA Splot, odlot, los sukinkot.

MC OSIEDLE O rozwiązanie sprawy Twardowski się modląc, wraca do kwatery, żadne szmery bajery, jupitery gasną, żywot człekowi spodłą, co za niejasność. Nie ma sensu, nie ma bałnsu, wszystko buja się, buju buju, i buja się tak, a jak, matulu, daj mi lek na te mdłości, nie pytajcie, co tu się dzieje ciulu, historyjkę jakąś prowadzisz, z gustem dobrym naszym wadzisz, zamknij ryja, jak przesadzisz, ci wsadzim dupę do ulu, piec będzie boleśnie, a może wy wyciągnijcie z dupy kija, bo Twardowski nie skończył jeszcze, ma wprawdzie na plecach dreszcze, niepokojne potargwały nerwy mu bez pieszczuć, więc teraz spać idzie, ale będzie kolejne do śledztwa podejście, ale teraz śpi, na scenie cisza, ci!

Twardowski śpi. Nad jego głową niebo gwieździste, a prawo moralne w nim.

LASKA Śpij okruszku, na brzuszku się wyleż, rozwiązanie przyjdzie, znikną zewsząd imbecyle, a, a, a, milicjanty dwa, spać też muszą, taka gra.

MC OSIEDLE Dryń! Złe rzeczy mu się śniły, trupy, które na wierzch gały wywaliły, całe stado umarłaków, w rzędach, szeregach, z ciała ludzkiego wieszaków, i patrzyły, w ślepiu mu patrzyły, i do wnętrza zaglądały, flaki duszy wypruwały, z jelit zrobiły sobie sandały, kurwa, a po co im obuwie, może lepiej łańcuch na kościotrupie szpargały, ale teraz na komendę, już poranek, włóż skarpety, wyjdź na ganek, na rząd mieszkanek spójrz, o tak, tak się życie toczy, w prozie dobrobytu broczy, a ty idź człowieku do pracy obywatelskiej, taka dola milicjanta, nadziei żyranta, bohatera in spe, walczącego o dobro i te pe. Twardowski oczy przeciera, patrzy na dobrobyt, co przez okno wyziera, ludzie tłusci jak byli, tak są, ruch wciąż mały, to nie do wiary, jakie tutaj czary mary, jakby włożył różowe okulary albo coś, on nie taki wróbel stary, ale jednak, zdumieniem napawa się cały. Mija pomnik Lenina dzielnego, patrzy się na brzuch jego, niezły numer, z dumy rozepchanego, krągłościami hojnego, a co to, brzuch Lenina jakby większy jakiś, plac zacienienia, jak

zegar słoneczny cień miejsce zmienia, i w bok, i w bok, i znowu w bok, i Nówka wie zawsze, która godzina, katoryj czas, uże ja znaju, gdy spojrzysz na cień od brzucha Lenina, taka historia, można by komponować na jej temat oratoria albo inne formy muzyczne, a co tam, nazwy ich liczne, i Lenin na pewno zasłużył na nie, by śpiewać mu i hołubić po wieki wieków kraniec. Czy to efekt klimatu tutejszego bajkowego, czy efekt cieplarnianego pokłosa jeszcze nieodkrytego, czy to skutek natury wodza, wszystko, co ludzkie chłonnaego, do ucha rejestrującego, troski ludzkie słyszącego, które spadają na niego, i ciężarem obarczają, ciężaru nadają, i ciężarem przeciążają organizm lidera wielkiego, który przez was tak wygląda, ale nie marudzi, bo wielki człowiek z niego, motor dziejów, parowóz postępu, choć pewnie nieraz musiał dłonie sobie pobrudzić, a jak.

Nowa Huta, najpotężniejsza budowa socjalizmu w Polsce,
otrzymała w tych dniach imię Lenina.
Huta imienia Lenina, przykład braterskiej
pomocy i międzynarodowej solidarności.
O to walczył Lenin. Jego sprawa żyje, rośnie i zwycięża.

MC OSIEDLE Leci na komendę, snując w głowie wczorajszą gawędę, nie do końca udaną, na straty spisaną, myśli: dostanę reprimendę, włosy z głowy będą leciały jak fajerwerk, chmura dymu z łba polecą, byleby mu czerep nie pękł, na to nie chcą patrzeć kobiety i dzieci, mija kawiarnie jak grzyby po deszczu powstające, gospodarkę polską z kolan unoszące, ach, jak pięknie dziś świeci nam nasze Słońce, ze wschodu promienie wysyłające, ciepło, jeszcze cieplej, o jak w głowę ciepłutko, w Nówce przyjemniutko, i te kawiarnie jakieś lepsze niż w reszcie kraju, zamiast ciastek ludzie nie wstydzą się mięsa zamówić, jest tu jak w południowym jakimś palmowym raj, gaju cudownym, wędliny na półmiskach rozciągnięte, a wszyscy chwytają w paluszki i buzie mają uśmiechnięte, rośnie pokolenie odnowicieli dawnej sławy polskich wędlin, wszystko to niepojęte, mają na to wszyscy chętkę, jak takie mięswo weźmie się w usta, to przyjemność sama, czy rozpusta, raczej niet, rozkosz nie pusta, ale szlachetna, idea konkretna, nie trefna, rozmarzył się, wyobraźnię rozżarzył, i nawet prawie nie zauważył, że przez próg już wkracza na komendę, a tam szef komendant ponury czeka, rezultatów, efektów docieka i co, Twardowski, macie co w sprawie denata? Denata, tak tak, rozeznanie robiłem a sprawa jest taka, no, można rzecz bylejąka, siostrę jego znalazłem, Edytę Piękną, przesłuchałem, ale z rozmowy niewiele wyciągnąć mogłem, mało wynioskowałem, no, wolno to szło, a wokół spokój, cisza, w myśli natłoku. Na wyniki sekcji trza by czekać, mają być dziś po zmroku. A Twardowski, żółtodziobie krakowski, masz tu sprawę nową, elegancką, cywilną, ale trzeba wyjaśnić ją pilno, ludzie źli są na panią z mięsnego, osiedlowego, mięso w jej sklepie ginie, twierdzi, że nic nikomu do tego, a trzeba postawić do pionu ją, zbadaj to i nie bądź tym razem lebiegą. W sumie Twardowski

może się tym zająć, na wyniki badań z Krakowa czekając, tymczasem kica sprawę prowadzić, broń przezornie chwytając.

Kronika filmowa. Na planszy napis OCENZUROWANO. Sielska muzyczka w tle.

NARRATOR KRONIKI Poranek. Pierwsi mieszkańcy miasta śpieszą do pracy. Każdy z was wkrótce rozpocznie zajęcia w szkole. Tymczasem już kilka godzin wcześniej miasto przygotowuje się do codziennego życia. Zaopatrzenie sklepów w towary, czyszczenie ulic. Właśnie o tej porze spotykamy pełniącego służbę milicjanta, który jak przystało na dobrego gospodarza, troszczy się o spokój swojej dzielnicy. Gdy wy wypoczęci biegniecie do szkoły, milicjant kończy nocną służbę. Szybka orientacja, doskonała znajomość przepisów, i sprawne ręce do pracy zapobiegają niebezpiecznym zdarzeniom.

W kronice wyświetla się obraz kobiety, która boi się przejść przez ulicę. Twardowski podchodzi do niej.

NARRATOR KRONIKI O tak, proszę bardzo, może przeprowadzę szanowaną panią przez jezdnię? A tak, dziękuję, panie milicjancie, sama bym się bała, jak to dobrze, że mamy taką sympatyczną władzę. To sierżant Twardowski, na co dzień pracujący w mieście Nówce, dzielnie stoi na straży prawa. A jak wygląda taki dzień z dnia milicjanta? Co taki milicjant robi cały dzień, mógłby ktoś zapytać? Jego praca nie należy do zadań łatwych. Na milicjanta często czeka wiele trudności, z którymi musi sobie poradzić sam. Dziś sierżant Twardowski wybiera się rozwiązać sprawę ginących wędlin z lokalnego sklepu miejskiego. Mięso w naszym kraju, kraju zniszczonym największą wojną w historii ludzkości, jest towarem deficytowym. Sytuacja przykra, ale wcale nie beznadziejna. Na szczęście władze reagują szybko i sprawnie. Właścicielka, pani Leokadia, od wielu lat zajmuje się sprzedażą produktów mięsnych. W tym szlachetnym zawodzie wspomaga ją siostrzenica, Edyta. Obie zgodnie chwalą sobie pracę, w której najważniejszy jest kontakt z miłymi klientami miasta Nówki. Teraz stały się ofiarami łajdackich kradzieży produktów, których jakość tak bardzo ceni sobie lokalny konsument.

Zerwanie filmu. W głowie Twardowskiego wybuchy i czerwone światełka.

MC OSIEDLE Widzieliście ten wzrok sierżanta, czołowego kraju aspiranta, czy mu rzęsa do oka wpadła, czy to samolot czy to ptak, czy ten raz wspomniany rak nieborak? Czuje, że wyszedł w filmie na palanta, taśmę zmienić trzeba będzie, tak oniemiał na widok Edyty Pięknej, co ona tu robi, czemu tu stoi, mięso skrzętnie na hakach przekłada, ze zdziwienia facet brzęknie, czy tak przystoi? Ona jak róża pąsowa w tym mięs wszelakich okowach, patrzy na niego z wdziękiem, jak cielęcina różowa, i mówi:

PIĘKNA EDYTA Dorabiam tu skrzętnie. Miło pana milicjanta widzieć, władza widać zna się na wokalizie, skoro zdziwiony pan obecnością mą tutaj, w izbie mięsnej, przy firmowej markizie. Artystka z talentu nie wyżyje, na pewno nie majętnie, a dwie ręce do pracy mam, więc korzystam z nich chętnie.

LASKA Edyto, los artysty wyrażasz, się nie zrażasz, sztukę swą wykonujesz, choć zmysłami wszystko czujesz, pół miasta cię adoruje, w oczach naszych awansujesz, ambicji swych nie amputujesz, a przy tym kielbaski jesz, przyszłość światłą uformujesz.

MC OSIEDLE Japa! Czy Edytka nie za bardzo jak na świeżą żalobę uśmiechnięta? Czy nie w czerni powinna być choć, żeby smutek i żal formalnością spiąć, gorzkim żalem spętać? Twardowski brew podnosi, a tymczasem koniec kobito ze śpiewkami, można tym widzów przekarmić, lepiej czymś ich zaskocz, pokaż, co masz w swojej handmade ciastkarni, słodycz sztuki, a może talerz kałamarnic, na bogato, to też nieźle w dziedzinie śpiewu, kultury i arcyzmu nauki.

LASKA Mięso! Mięśnie szkieletowe, szkieletorowe, uznane za zdatne do spożycia wraz z przylegającymi tkankami, po łacinie textum, a po fińsku kudos, tkankami, a ami to po francusku przyjaciel, ergo mięso twoim przyjacielem z tkanek, czyli: łączną, kostną i tłuszczową oraz takie, takie narządy wewnętrzne, jak wątróbeczka, nerczka, żołądeczek, ozoreczek, mózgunio, płucka, i tym podobne o! je. Określenie stosuje się głównie do ciał różnych gatunków zwierząt, ssaków i ptaków, zabitych lub padłych, przeznaczonych do konsumpcji, z wyjątkiem kotków i piesków, i wróbelków elemelków, bo to nasi ulubieńcy, nasi uliczni przyjaciele, hau hau, miau miau. Zazwyczaj jest efektem chowu, lecz również może być efektem polowania w swoim naturalnym środowisku (świst strzał pierwotnych)! Rzadko zjadane bezpośrednio po zabiciu i nieprzetworzone. Najczęściej przetworzone termicznie: gotowane bul bul bul, smażone psst, pieczone, pieczone... na pieczone nie ma dźwięku. Legendy mówią, że najlepiej wędzić mięso w pierwszej kwadrze księżyca, kiedy niesamowitość jego światła odbitego jest w stanie uniesamowicić smak mięsa.

A pani Leokadia, no, ona to mięso lubiła, mięso było jej sensem życiowym od czasu, kiedy wydała ze swych małych, otyłych, dziecięcych płuczek pierwszy krzyk, jak była małą dziewczynką, rozplakała się kiedyś, gdy podczas niedzielnego domowego obiadu kotleta schabowego nie podano, bo przecież niedziela, i dzień święty, dzień wolny, a kotleta ani widu, ani słyhu, i płakała, płakała tak mocno, jak mocne są trunki wszelkiej procentowej maści, a te łyzy były tak słone jak mięso zakonserwowane, i poprzysięgła wtedy: sama kiedyś będę miała tyle mięsa, ile brzuch zapragnie! Stanę się mięsną księżniczką, z tronem na wzgórzu z baleronów i wędlin wszelakich, stanę się mięsną trendseterką, kreatorką rzeźnickich smaków. I dążyła, całe życie dążyła do swego marzenia, gdy inne koleżanki wchodziły na traktory, ona poznawała technologie żywności różnych, gdy inne koleżanki pracowały w miejskich przedsiębiorstwach, ona kończyła szkołę zawodową w kierunku mięso, bo uzdolniona naukowo była, i pani Leokadia czuła się spełniona, czuła się spełnioną kobietą, w swoim planie wieloletnim, całozyciowym u-mięśnionym planie życia! A kiedy dane jej było otworzyć swój własny sklep mięsny, wyrobów własnych, to czuła się jakby to mięso unosiło ją w przestworza, jakby

szymbowała w przestrzeni na plastrach bekonu, ponad tym wszystkim, jakby na drzewach rosły wędliny i wołały do niej Leokadio, Leokadio, jesteście dla ciebie, a ona pękała z dumy, że to wszystko dla niej, i to wszystko jej pracą. Ona rozumiała mięso, ona szanowała mięso, ono do niej śpiewało i przemawiało przekonująco, a ona słuchała go i szła całe życie drogą mięsną. A teraz ktoś okrada ją, kradnie ze sklepu podłe, a Leokadia płacze znów słonymi, mięsnymi łzami, że panie władzo, że ludzie mówią, że ja to tak specjalnie, a ja jestem mięsną księżniczką, a ja to mięsko tak kocham, ja to wszystko dla ludu mięsnego, ja tą miłością chcę się dzielić, prawdziwie socjalistycznie dzielić, gdzie jest moje kochane mięsko, mięsko, mięsko, cip ciip. (*pada z wysiłku*)

MC OSIEDLE Ofiarności dla sztuki to się chwali. Ktoś weźmie laskę z sali? Czy wszyscy kapują, o co chodzi? Czy ktoś się w fabule zakręcił, zgubił wątek, czuje, że go autor zwodzi? Dobrze myśli, bo docieramy do kulminacji różnych, ja wodzirej wasz usłużny to mówię z przekonania, nie dla samej wody lania, nie jestem bezduszny, jak jak berety sobie nie robię próżnych. Twardowski w mięsnym, śledztwo prowadzi, Leokadia z Edytką na zaplecze go prowadzi, mówiąc panie sierżancie, ja tego nie rozumiem, ale to jakieś sprawy szatańskie, chochoły gałgańskie, tu jakaś bestia nieziemska nas okrada, bo jedyne ślady, co zostawia, to blizny, straszne szramy, biada nam śmiertelnym, biada. I Leokadia tak gada, i płakać próbuje, ale to tęga baba, mało subtelna, więcej, raczej niezła z niej szelma, trochę z zachowania bezczelna, bardziej do chłopca podobna niż do kobity, z oczu jej dziwnie patrzy, uśmiezek ma nie w ciemię bity, porusza się zwalście, wąs chyba dziś gołiła, bo szramka na twarzy w okolicy nosowej lśni teraz dosyć oczywiście, plasterkiem jej nie zakryła, i próbuje głos lekko modulować, ale powinna ze wstydu głowę schować, bo średnio jej to wychodzi, basem niemalże przemawia, barwa głosu chropawa, jakiś zgrzyt Twardowski w jej postawie widzi, tak sytuację zapoznawa, w końcu taki głupi ciul do końca nie jest, coś tam o fachu milicyjnym wie, nic kryminalną spawa, w jakimś dzwoni mu kościele, jeszcze nie wie, w którym, ale się dowie, jak mu czas w dupę szpilę dospawa. I idzie, prowadzi go Leokadia i Edyta Piękna, na miejsce, gdzie ślad po wędlinie ginie, i wtem mu banan na twarzy zrzędniął. Pazurzaste ślady, zadrapań masa, co za rzeźnia, bestia tu przechodziła, nieźle sobie diabeł pohasał, skoro tyle wyżłobień we framudze wyciosał, w ciekawych żyjemy czasach, ho, ho. Zwierzę to jakieś rzecze, a niewiasty dwie kiwają głowami, tak, panie sierżancie, jak on tutaj wchodzi, to jakieś czarcie sztuczki, my się boimy po mieście chodzić nocami, nie umiemy walczyć z bestiami, niech pan poczwarę utłucze albo nasypie w Nówce dla sobaki coś na zatrucie.

Przeraźliwy szczek. Może być warknięcie, może być syrena alarmowa. Zwierzęcość.

MC OSIEDLE Wtem szczerk zerwał się na polu, kobiety zęby wyszczerzyły i drzeć się zaczęły, olaboga rety, ile lat jeszcze będziem patrzeć na ten defetyzm, łap pan sierżant czworonoga do cholery, wyciągaj pistolety, ratuj Nówkę, przed bestią z piekiel, żądamy vendetty, do ataku, na broń bagnety.

Beatbox pościg.

Leci. Sam nie wie za czym. Wrzask usłyszał, rozum traci.

Pędzi.

Cud, że broń wziął. Tym razem nie pęknie za nic. Charaszo.

Bestia biegnie gdzieś.

Tum tu tu tum tu tu tum.

Zakręć, ślizg, dojrzyć bestii nie może.

Pokaż pysk.

Niech pysk pokaże, biegnie biegnie, pokaż się, azorze, ja ciebie ukarzę.

Choć bestie w biały dzień nie chodzą, nie biegną w dzień w ferworze.

To jakiś pies przerośnięty być musi.

Sobaka piekielna, musi to na Rusi, cenzura, kasujemy to o Rusi.

Osiedle Szkolne, a to mnie przegonił.

Zalew Nowohucki, Zalew, będzie zaraz po, po, po, zadyszka, nim.

Widzę go, strzał!

Pudło. Strzał!

Pudło, nieźle się ugina.

Gdzie teraz dziad jest.

Ta kurewska psina.

MC OSIEDLE Na psa urok! Gdzie się ten kundel zawszony podział? Mówią człowieka przyjaciel, mówią jedyny ludzkości kamrat, na cel nienastawiony, z wszystkiego zadowolony, co na wady człowiecze nie patrzy, a to podstępna gadzina, gdzieś się ukryła, pod ziemię się zapadła, znać, że to wilcza, szczerk szczerk, genetycznie mało przyjazna zwierzęca rodzina. Dookoła woda, sielsko anielsko, a po bestii ani śladu, nic ująć, nic dodać, a Twardowski płacze wewnętrznie, co za szaleństwo, nawet dobrze przyjrzeć się nie zdołał, zwycięstwo należy mu się jak psu buda, to chyba mrzonka jego, zgubna ułuda, czy na psy schodzę, na łeb na szyję, po równi pochyłej, od zmysłów dwóch czy trzech, ile ich tam jest odchodzę, czy zły zawód wybrałem, dyszy wciąż, niepowodzeń będę miał parę kolekcijek, od porażek porazi mnie zawałem, na komendzie za zbitego pieska francuskiego uchodzę, po łbie przez Nówkę dostałem, pierdolę to, odchodzę.

Będę kwiaty w wolnym czasie sadzić.

Rabatki według zaleceń babci może uradzić?

Kryminały czytać, i nikt mi nie będzie zbrodniarsko wadzić.

Może wybuduję sobie szklarnię? Pomidorki krajowe gromadzić?

I nikt mnie z nerwów nie będzie mógł wyprowadzić.

Poczytam w końcu o kosmosie i o tym, jak radziecki człowiek w nosie ma wszystkich, i że psa nawet we wszechświat dał radę jak autostopem wysadzić?

Jak myśl zatryumfowała i ludzkość do końca świata będzie dzielnie prowadzić?

I co ujrzał, kiedy już się tak nerwowo załamał, godność i honor porzucił, w siebie zwątpił, poczuł jak lilipucik, co wpadł w za duży wielomilowy bucik, cud, można powiedzieć, alleluja, po tych wszystkich smutnych samobójach przełom w śledztwie, mało się z szoku nie zakrzusił. Zalew spokojny, woda wesoła, ale coś w niej pływa, z niej się wynurza, jakaś dłoń mocna, pomoc wzywająca, nieduża, przybliży się sierżant do fali wątlej, szyję wydłuża, żurawia zapuszcza, a tam dłoń owszem, lecz obok niej ciała reszta, fragmenty kończyn poplątane, z nieba huknęło, aż jebnęło z niebios jak pojebane. Huk. Burza.

Deszcz pada z gruchotem na ziemię. Zbliżenie na Twardowskiego, teraz widzimy pory na jego milicyjnej twarzy. Twarz jest coraz większa, puchnie, wypełnia pole widzenia. W oczach przestraszy i gonitwa myśli. Co za przemiana, twarz napięta, kropelka potu spływa po skroni, jakaś biegunka mózgowa go dopada, obrazy migają mu przed oczami. Gdzie on się znalazł? Co tu się stało? Kawałki ciała równo pocięte, do wody wrzucone. Gdzie ta bestia, co tu była? To nie może być przypadek, podobieństwo miejsca zbrodni przyprawia go o mdłości i Twardowskiemu nie pozostaje nic innego, jak rzygać, jak rzygać do nieskończoności. Rzyga jak kot, co się przejadł, a potem poszedł biegać po mieszkaniu, rzyga jak po najfelerniejszym zatruciu, jak po najgorszej tygodniowej milicyjnej imprezie w ciągu, rzyga już tym i rzyga tym rzyganiem, które końca nie ma, które nie wiadomo, skąd się bierze, bo nic nie jadł dziś, bohaterowie nie mają czasu nigdy nic jeść, bo muszą nadążyć z fabułą, to rzyganie jest chyba echem boskiej woli, i to pytanie, to pytanie, które nie może opuścić jego myśli, natarczywe pytanie, które dudni mu o czaszkę i wypełnia usta.

Mdleje.

MC OSIEDLE Halo, panie władzo? Czy pan nas słyszy? Czy oczy otworzy, czy palce policzy, raz raz? Cicho jak u myszy pod miotłą, Twardowski powiekę otwiera, patrzy nią ledwo, widzi okno, brak firanki, kiedy wymoknął? Szmer czegoś, co to za miejsce? Białą szatę ma na sobie, pamięci jakieś ułamki, czy umarł? Nie, to w szpitalne zawitał piżamki. Leży jak długi na łóżku, i nie wie, co się dzieje, aha, powoli, że śledztwo, aha, powoli, trzeźwieję. Puls w normie, źrenice też, panie sierżancie, musi pan coś natychmiast zjeść, to wszystko z przemęczenia, zawrót głowy, halo ziemia, do sierżanta ziemia. O, gwiazdy zatoczyły krąg wokół głowy sierżanta, ale balanga, gwiazdozbiory w pary się dobierają, panie proszą panów do tanga, a on tańczy wraz z nimi, tańczy tak

tańczy z nimi we wstążkach, gęsiego i w gwiezdny szronie prawie jakby był w rycerskim Avalonie, arturiańskim gwiezdny panteonie, w końcu marzenie jego się spełniło, dostał sławy i gwiazdą stał się aż miło, innym teraz po oczach daje, ale chwila, dlaczego latarką po oczach dostaje? Panu trzeba by zwolnienie, głos słyszy niebiański, czy to Księżyc do mnie przemawia, w pełni się przy tym śmieje? Gwiazdy

nie można zwolnić, ona z powołania jaśniej, czy ja szaleję? No Twardowski – komendant szydzi – toś się przysłużył, milicjanta znaleźć padłego nad zalewem, niedobrze to wróży, ludzie się śmiali z ciebie, żeś zasłał i że lada moment będziesz w niebie. Panie komendancie, ja w śledztwa zewie padłem, to nie tak, nad tym mokrądem, to znaczy w zalewie, tańczyłem w gwieźdny szale, to znaczy, ciało było przecież, tak jak ostatnio pokrojone, no nie wiem, co ty chłopie majaczysz, czy coś brałeś, nie brałem, ale nic tam nie było, sam obaczysz, coś ci się przysniło chyba, taki z ciebie rybak i połów kruchy, wymyślony, skoro ciało widzisz ty, a reszta nic, duchy chyba, duchy, mózg twój bzdurami upstrzony, to duchy tam były, ja już nie mam na ciebie siły, przywołuję cię do porządku, przestań bzdury wygadywać, lepiej psa tego krwiożerczego znajdź, ale najpierw na zwolnienie idź, to ci się przyda, sam sobie chłopie dosrywasz, misja to twoja ostatnia będzie, Leokadia wspominała jaka bida, psa ustrzelić trzeba chyba, co kradnie mięso, gdy jest społeczna potrzeba. Do tego pies niebezpieczny, dzielnicę terroryzuje, te zwłoki, co były ostatnio, też przez bestię pokąsane, czy słyszysz, do rozsądku twego alarmuję.

TWARDOWSKI Stop. Coś mi tu śmierdzi. Może ocipiałem, ale ciało widziałem, może nie jestem bystry, nikt tak nie twierdzi, nie będę gdać jak kura przypadkiem na żerdzi, ale mam dobre czasem pomysły, i mam zmysł bohatera, typ mnie rozsierdził, co za bzdur seans. Coś tu brzydko pachnie, coś zbrodnią woni, ciało było, a go nie ma, sztuczki liczne magiczne, ktoś tutaj bzdur kroci usilnie broni. Tylko po co? Komu zależy, by mnie przegonić? Nic innego się nie składa, reszta tropów to żenada, banalna poszlak defilada, hop w krok, i jeszcze na zwolnienie wysłać mnie wysyłają, jakby tego było mało. A ten pies wściekły biegający to jakaś maskarada, muszę stąd spierdalać, nogi bose za pas brać, i tak gada, coraz ciszej gada, i się z pokoju w kapciach wykrada.

MC OSIEDLE Zryw! Biegnie miastem, Nówką dobrami napchaną, ściemnia się, latarnie jeszcze nie wszędzie zainstalowano, więc łatwo przemknąć, zaszyć się nocy płaszczem, gdy sen wszystkich morzy, nim miasto nie zaśnie. Gwiazda dalej świeci nad Nówką, gładzi delikatnie bloki, blasku nie szczędzi dachówkom, a Twardowski patrzy na boki, mierzy kroki, rozgląda się, czy nikt gorliwy go z okna nie tropi. Dobra to pora na ukrywanie, większość ludzi drzemie, w sumie ciężko uprosić się o lanie, gdy naród zmorzony na snu polanie, a podżegacze siedzą w domu cichcem pod kocem skryci, na brzuchu, z radia głośniczkami przy uchu, by nikt nie usłyszał audycji, szczególnie ci dobrze im przecież życzący z milicji, ale tak już jest, panowie i panie, ludzie przekorni czasem, ludzie czekają na nowe wydanie. Twardowski idzie, jeszcze nie wie, ale cień mu towarzyszy, w ciszy, człapie przy nim, zanim się ujawni, jeszcze trochę podyszy, jeszcze poczeka na niespodzianki premierę. Dobiega do celu – widzi – budkę jedyną tydzień temu założoną, by naród dzwonić mógł, gdy przyjdzie ochota i potrzeba, rzecz to dostępna nie tylko baronom, ale ludowi pracującemu, specjalnie tu ją do tego

celu postawiono. Przed budką spora kolejka, Twardowski trochę się naczeka.

Trudno prowadzić śledztwa w epoce kolejek. W czasie oczekiwania w tle wyświetla się Kronika.

NARRATOR KRONIKI Przed niektórymi automatami telefonicznymi gromadzą się kolejki, a przy sąsiednich budkach pusto. No tak, ale na pięćdziesiąt kabin ustawionych w mieście codziennie około piętnastu jest nieczynnych. Nie ma się co śpieszyć, proszę pani, rozmowa bez słuchawki będzie dosyć trudna. Tu działał jakiś wyjątkowo skrupulatny chuligan. Wandale chyba obgryzają nowe książki telefoniczne. Wnętrza automatów przypominają kapelusz czarnoksiężnika albo żółąkę żyrafy. Obok blaszek do butów, agrafek i guzików, zebrano już kilkanaście tysięcy połamanych słuchawek. Nic dziwnego, że Polska przoduje światu w produkcji automatów telefonicznych typu pancerno-przeciwatomowego. Masywną konstrukcję z zakładu w Krakowie można sforsować dopiero przy użyciu wytrychów kasiarskich. Pod jaki numer zadzwonić, aby przywołać do porządku telefonicznych wandalii?

Przychodzi kolej na Twardowskiego.

TWARDOWSKI Halo, tu Twardowski dzwoni, czy pana Rysia, technicznego zastałem? A, dodzwoniłem się do żony... Tak, ja w sprawie wyników, tak, tak, to ja na nie czekałem... Mąż na biurku zostawił? A nie będzie zły, jak pani literki odczyta? Nie? To proszę czytać, ja poczekam, aż tak dużo czasu nie mam, ale nic to, potem się najwyżej więcej dowiem, dopytam.

MC OSIEDLE I czyta niewiasta po drugiej stronie kabla, i słucha Twardowski, i blednie, i coraz bardziej widzi twarz diabła, bo co on tam słyszy, diabeł w skórze ludzkiej, i klapki mu z oczu spadają, łyka słowa duszkiem. Narzędzie zbrodni – stwierdzono piłę tarczową, wprawnie, nie testowo, widać ktoś się na robocie znał, na oślepie nie dźgał, precyzyjnie z tego świata techniką nożycową operował, reszta ciała pokawałkowana, nożami rzeźnickimi okrajana, do tego żeby więcej było tego, skóra fachowo partiami oddzielana, niech się pan widz nie krzywi, nie ma miejsca w świecie na litość, proszę pana. Szał. Oniemiał. A co ze śladami bestii po zębach? Po śmierci typka nabyte wyźłobienia...? Duch Laski powinien teraz coś zaśpiewać, ale sprawa marna, tak jest w życiu czasami, że człowiek chce manny z nieba, a dostaje gorczycy dwa ziarna, i żyć z tym musi, żal w sobie zdusić w czeluści katuszy, nie ma piosenki, arsenał śpiewów cienki, człowiek tylko dwuręki jest, a na każdym kroku czeka go sprawności test. Z tego wszystkiego ma sierżant gest, reszty z automatu nie wzięął, poszedł przed siebie, z myślą ciężką, chmurą nad głową gęstą. Co teraz robić, jak się zachować, kształt śledztwa zachować, czy się pakować i w domu pod kocem schować, z kubkiem ciepłego kakao, na godzinę czarniejszą z rynku czarnego zostało go mało. Głowę w górę zadarł – niebo gwiazdnie się upstrzyło, zdobiąc Nówkę jak kolia diamentowa, jakby ją szacunkiem darzyło, bo to miejsce wszystko na głowę

biło, lśniło, pędziło przez galaktykę w tempie milion, a gwiazda Super przypięta do niebios jak kotylion, tańczy w parze z Twardowskim, kółka kręci, kształtując obraz katowski, portret nieboski. Gdyby nie blask gwiazdy go oświecił, pewnie zmrok by go do domu odwleczył, ale coś się stało, coś go ruszyło, do Meksyku ruszyć uznał, że trzeba pójść by było. Napiję się chociaż, może Edytę Piękną spotkam, nic z tego nie pojmuję już, czuję się jak idiota, gorzej, jak idiotka. Idzie przez Nówkę wieczorną, stopami człapie, kontekst sprawy łapać próbuje, za mało informacji ma, na takim dziwnym jest etapie, pod górę kombinuje, kombinacje alpejskie umysłowo wyczynia, ach ta Nówka, ta socjalistyczna rodzina, wszystko tu w rodzinie zostaje, szaf, bomba dynamit, tajemnic całe Himalaje, cudów małpie gaje, bum!

Padł Twardowski, co się dzieje, kto atakuje go, brać go, nie brać, zaraz oszaleję, wąs mi osiwieje, mózg osiwieje też, ile tu wydarzeń, jakie losu zbiegi, a my takie lebiegi, wolno nic opowieści snujemy, a tu pies na niego pada, bestia z Hadesu kły obnaża, zatrważa, szarpie sierżanta za łachmany, on jak pijany, myśli, że już przez śmierć śmieszna przydybany, a tu bestia odskakuje, z pyska nie toczy hektolitrowy piany, rety, rany, ale szczeka zawadiacko, „hej Twardowski, wstawaj, ludzki władco, istot dziwnych przyjacielu, mam coś dla ciebie, kość to nie lada, chodź, bo zacznę bardziej ujadać, szczek szczek, ja cię do Graala świętego tego miasta zaprowadzę, porzuc ten bek, ja człowieka najlepszy przyjaciel, zaufaj mi, i wiedz, to ja na tym tracę”. No, totalnie mu odjębało, głosy słyszy, to pewnie przez pełnię Księżycy, ciemną stronę ma niejedną, ale heca, cudów to on robi niemało, podziął w organizmie znosi, zegar biologii przestawia, o nic w zamian nie prosi, z wyjątkiem odrobiny szaleństwa, fiksacji zwycięstwa. Więc pędzi za sobaką, skoro już zmysły postradał, daje się wiatrowi ponieść, idzie na całość za to, w clownadach takie postaci spotykamy, co rzucają wszystko, oprócz talerzy śmietany, kurz leci z za nich, i tylko kłęby dymu, parę, widać spod ich kopyt jak się kurzy fabułka, bo na to jest popyt, taka regułka. Pies prowadzi, jakby nicią jaką do Twardowskiego niewidzialną się związał, ten mu jak głupek ufa, no cóż, od początku wiadomo, że koleś nie nadąza, para z głowy bucha, ale daje się porwać losowi ślepemu, kulawemu, co tylko co chwila rzuca krągłe kłody pod nogi jemu nieszczęsnemu. Pies zwalniać zaczyna, docierają na miejsce, niedaleko, za wzniesieniem Meksyk stoi, no, nareszcie, przyjemne z knajpy słysząc brzęczenie, przynajmniej wie, gdzie kroki skieruje po trudzie związanym z dochodzeniem, zresztą tak jak założył, na potem przecież w szufladkę w głowie odłożył. Pies staje i szczeka „chodź tu, człowiek, a zobacz, zobacz, co cię tu czeka, ja zwlekać nie zwlekam, a ty, na co, na co ty człowiek czekasz. W tym mieście wszyscy kłamią, tylko zwierzę masz tu szczere, tylko mi możesz w oczy szczerze spojrzeć, prawdę ujrzyć, chodź za moim wilczym nosem, zostaniesz bohaterem, historii kolosem”. I biegnie psisko, tam budyneczek jakiś stoi, ciemny, bez świateł, słuchacze moi, tak ciemno aż nie przystoi, brr, do tego ślisko. Pies zniknął, a sierżant człapie

za nim, wchodzi do gmachu, hangaru, nie wiadomo, jakich określeń szukać na to gniazdo opuszczonych bocianic, co do krajów lepszych odleciały, ale o tym cicho, nie dajmy się ponieść za nic, bo z anteny zdjąć nas mogą, przetrącić, gdy będziemy iść jakąś przypadkową drogą, może być z nami artystami licho, marniutko, więc przypomnę jeszcze, cichuteńko, cichutko. Zapach dziwny, napawa go trwogą, po co tu wlałem, jak w grobie jedną nogą się czuję tu, hop hop, czy jest tu kto, po co wołam ja, może lepiej być incognito, a zresztą, co ja tu robię, zaraz pójdę do Meksyku, o Mexico, Mexico, odbiję strawą wielką sobie, jeść też trzeba wojownikom.

Wdepnął w coś mokrego, ręce przed siebie wyciągnął. Dotknął. Matko. Krzyk się urwał z niego. Co to, co to takiego lepkiego na wysokości dłoni uwieszono? Co to za miejsce, gdzie moje zapalki, i przetrzepuje kieszenie, odrzuca niedopałki, niby w bierki gra troszeczkę, gra stara, ale jara, tak by się zdać mogło komu, gdyby spoglądał nań w tym momencie ociupeczkę, w końcu znajduje delikwent zapaleczkę, pociera, i zaczyna się rozjaśniać w dziupli troszeczkę.

O.

Dajcie chwileczkę.

Chwileczkę.

Niech się przyjrzy chwileczkę.

Pot zimny chwileczkę.

Potem nic już z uczuć, tylko tę zapaleczkę, na tej zapaleczce się skupił.

Winy swoje odkupił.

Rząd haków rozwieszony symetrycznie. Na nich korpusy ciał całe, żebra, uda, tułowia, poćwiartowane i pocięte gładko. Głowizn nie widać, z nich zrezygnowano, pozbyto się, nie wiadomo, ciężko potem będzie z identyfikacją, nie odnotowano miejsca ukrycia. Przy świetle zapalki niewiele widać wyraźnie, może to i lepiej, na miejscu takiej kaźni może lepiej nie widzieć dokładnie, jedynie pogładowo, wstępnie, by nie splamić wyobraźni do końca. Po co. Żyć trzeba dalej, dnie zaczynać i kończyć, i nie biczować się, wspomnień krwawych na dzień każdy nie rozciągać. Oddech brać i wydechów też nie skąpić. O złotym środku pamiętać.

MC OSIEDLE Twardowski. Uciekaj, Twardowski, nie zwlekaj, na Boga, nie czekaj. Zawiadom kogoś, cwelu, tu ludzkie mięso wisi, wjechałeś się do niezłego burdelu, a ty patrzysz palancie i gały wytrzeszczasz, dotarłeś do celu, game over, załóż na głowę kołdrę czy jak, teraz idź, wymusknij się stąd pająku chudy, teraz wiesz, skąd ten dobrobyt, na ulicach ludzie jak krasnoludy, pękaci, brzuchaci, i choć ludzi przybywa, populacja ani nie zyskuje, ani nie traci. Spierdalaj, idioto, uciekaj! Nogi za pas chwytaj, jeńców nie bierz, przeżycia nie odwlekaj, bum. Gdzieś dalek głos usłyszał, to chyba fatum go woła, halo, halo, tu rozsądek zdrowy, cwany on jak nie przymierzając Zawisza, i idzie za nim, no, brawo, szelmo ofermo, ja pierdołę, taką fundować sobie samemu przygodę, co za niedola, chodzi sobie typek od ściany do ściany, szokiem narąbany, jak dziecko we mgle, od przedszkola do

Opola, wlecze się po obiekcie od Sasa do Lasa, obcasa co jakiś czas przez kości stare trąca, co za pierdoła, choć intencja imponująca. Co to za szept cichy? Za zapalką idzie w półmroku ukryty, jak Karamba ciemnością spowity, tak ciemność obwija jego wnętrze teraz, stara się nie myśleć o tutejszych garmażerach, bo czuje się dobity, choć gdzieś źródło światła go przywodzi, staje przy szparze jakiejś, rozwiązanie nadchodzi, i wzrok w rysę wtyka, oko niczym cyklop wytrzeszcza jedno, patrzy przez szczelinę, i widzi blond grzywę, o nic nie pytam, sylwetkę piękną.

To Piękna Edyta. Piękna jak piękno w definicji słownika.

Z kimś gada. Nimfo śliczna, jak to się składa, żeś ty tu, poza rozsądkiem całym, żeśmy w ten sposób się spotkali, na co cała ta parada, co robisz tu, niewiasto szlachetna, skazą nietkniętą, żeś w kaźni zamknięta, pewnie ją porwali i teraz są kontenta, bawoły, matoły! Pewnie los ją czeka krwawy, w warunkach chłodnawych, wśród tej całej mięsnej wątpliwej zabawy, jak brata lubego, musiała wiedzieć coś, widzieli, jak rozmawiam z nią, dotknąć teraz chcą do żywego, jak ratować kobietę, żeby nie uszkodzić jej, nie zranić zła bukietem? Głos drugi się pojawia, męski teraz, musimy przenieść to miejsce, od dzisiaj tęga sprawa, nasz dobytek ludowy ginie, robi się ciekawie jak w Sfinks kinie, a nie o to chodzi, to interes sypie, Nówce szkodzi, a sierżant na twarzy ma wypiek, taka była społeczna umowa, że mieszkań mało, a gdzie wszystkich pomieścić, myślała niejedna zajebana od rana do nocy pracą głowa, to i ludzi konkretna ilość być musi, taka umowa, żeby Nówka była Nówką, bo umowa to umowa, czerep mu się gotuje, jak ciasto z pieca wygląda, bo porucznika poznaje, jak wszystko melduje, jak na prawo nastaje. Szast! Zapalka zgasła, spieszył się, ręka mu się omskła, o drzwi drasła i wzrok ich w ciemnościach na niego się skierował, co za niefart, że się tak skompromitował, choć się ładnie schował, aha. Wyłaż, offermo, mam cię na muszce, broni nie spuszcze, już po tobie Twardowski, gdzieś nosa pchał, to cię, przybyszu, czeka los dziadowski, a już cię, komendancie, co tu się dzieje, ja mdleję, w to wszystko nie wierzę, Edytko Piękna, piękna Edyto, co tu się dzieje, wyjaśnij mi to, chamie, co do pani mówisz, na kolana padnij, zaraz posadzkę krwią swą nawilżysz, to ostatni układanki składnik, ingredient samowładny, patrzcie go jaki podwładny, plama krwi twej ziemię tę zbroczy, i z niebios może różańczyk, paciorków parę, odmówisz, kółko w kręgu życia zatoczysz.

Już po nim.

Wszystkie chwile przed oczami mijają, gdy komendant z broni mu mierzy do skroni. Ciekawe, czy się obsra, gdy już ciało padnie w agonii. Ciszta, ból, finał życia niespełniony.

Deus ex machina

MC OSIEDLE Szanowni panowie i panie, tu prawie jak w „Kordianie” niesłychanie, w chwili ostatniej, rachunek prawdopodobieństwa na

nic tu zda się, bestia wilcza z czeluści wyskoczyła, Edytkę Piękną, o cerze gładkiej, ponętną z nóg zwałała, komendanta do ziemi przyszpiliła i szarpie go za gardło, twardo krzycząc „ha, jakie tłuste sadło, Twardowski, bierz się do roboty, nie najlepiej będzie się to chamstwo jadło, ja nie pies na zwłoki, sekcję robię teraz, a ty bierz dupę w troki, pryskaj i poskrom to miasto dziwadło, na ciebie zadanie wiekopomne padło”.

TWARDOWSKI Nie, spadać jeszcze nie mogę, ja muszę zgłębić, co tu się dzieje, choć słyszę przestrożę, Edyto (*krzyczy*), wytłumacz, bo szaleję, nie pójde w drogę, moc truchleje! Co z bratem twoim? Serce mnie od tego boli, mów, bo dziczeję, odrzuć ceregiele!

MC OSIEDLE Ale chwila, co mu w mózgownicy jaśniej, jak na dłoni nagle jasno, sto wat ponad, rozwiązanie go po połączeniach nerwowych chlasło, o czym ona tak w rozpaczy ostatnio szale krzyczeń zaczęła, gdy wylewać ją gorkie żale, coś mu umknęło wtedy, a teraz z tej biedy widzi wszystko, co usłyszał od tej damy, „brat mój sfiksowany, pokrajany”, pokrajany... Pokrajany? Echo w mózgu Twardowskiego buczy. Skąd wiedzieć mogła, skoro zdjęć nie miał i nie wspomniał o tym ani ani?

Wizja. Światło na Piękną Edytę. Wiatr we włosach. Reszta znika.

PIĘKNA EDYTA Jestem Edytą Piękną, spełnieniem marzeń tego miasta, spełnieniem marzeń tego kraju. Bo ja los dramatyczny, w wichry historii zapleciony, jak warkocze w kłosa, jak kosze z wikliny. Byłam tylko zwykłą dziewczynką, która na plecach rodziców przyjechała do tego miasta pełnego marzeń i możliwości. Pole gier dziecięcych – ulice, które dopiero powstawały, place, które dopiero się formowały, ludzie, których ciągle przybywało, poznawało się co i rusz nowych ludzi, och, jakie to piękne były czasy! Na Pierwszego Maja wychodziło się ze sztandarem w radosnym poruszeniu, wszyscy czuli dumę z Nówki, naszego miasta. Słońce zawsze nam świeciło, bo to akurat prawda, a szczęśliwa Supergwiazda zawisła nad Nówką wołając – tutaj, tutaj przybywajcie, ludzie mądrzy, ludzie odważni. Ale rewolucja to dzikie zwierzę, które daje się pogłaskać tylko kiedy samo tego chce, to dzikie zwierzę, które kąsa, kiedy ma na to ochotę. Nie chciano zostawić Nówki w spokoju, ludzi przybywało coraz to więcej, zwabionych sukcesem miasta, perspektywami świetlanej socjalistycznej przyszłości. Ci, którzy już trochę tu byli, wiedzieli, czego Nówka od nich chce – poświęcenia i utrzymania jej radosnego, idealnego stanu dobrobytu, jakim obciekała od zarania, jakim obciekać miała po koniec czasów. Jakże byliśmy źli, my pierwsi przybysze, kiedy ludzi zaczęło przybywać, a skończyły się produkty, specjały, i pełne sklepy, pełne naszych krajowych dóbr. Zaczął się głód. Głód taki, że nasze niegdyś zazielenione trawniki zdały się zupełnie niezasiane. Głodni byli wszyscy, ludzie, zwierzęta. Ale piekło rozpętało się dopiero wtedy, gdy do tego wszystkiego zabrakło mieszkań – dawni mieszkańcy, budowniczo Nówki byli zmuszeni przyjąć pod swój dach obcych, którzy swoją obecnością zaczęli obdzierać Nówkę z tego, jaka była,

z jej wspaniałości. Ci, którzy przyjechali, nie byli już tak chętni do wspólnego czynu, chcieli już tylko żerować jak kapitalistyczne pasożyty. Wtłoczeni w niewygodnych konfiguracjach, obcy sobie i głodni, stawali się sobie nawzajem wrody. Byłam zła. Wszyscy byliśmy źli. Jak mogliśmy do tego dopuścić, my, wybrani, których ręce zostały odciski na tutejszych murach? Jak mogliśmy dać się tak parszywie podejść? Człowiek z Nówki zrobiony, człowiek tutejszy wie, jak walczyć o swoje. To miasto ma w sobie krew wojenną, my z wojny powstaliśmy i w wojnę się obróciliśmy. Decyzja zapadła – na tajnym gremialnym posiedzeniu pierwszych mieszkańców Nówki postanowiliśmy – trzeba wziąć los we własne ręce, tak jak nas uczono. Umowa społeczna ofiar wymaga, kto tego nie wie, ten życie postrada.

Tysiące rąk, miliony rąk,
a serce bije jedno.
Wzniesiemy dom: Ludową Rzecz
słoneczną, niepodległą.
Wesoły marsz, milionów krok
uderza wspólnym rytmem.
Budować świat, promienny świat,
zadanie to zaszczytne.

MC OSIEDLE Edyto, co ja słyszę, z nerwów się jak sierota kołyszę, na pnączach nerwowych wiszę, co to za bajki niesłychane, a co z twym bratem, przecież on też poległ, jak miemam, w tym planie.

PIĘKNA EDYTA Umowa to umowa, drogi mój panie, a ten wariat uznał, że dość ma, że ma na to wszystko wyjebane, a tutaj wszyscy wiedzą, co jest grane, popapraniec, że w Meksyku nie chciał się stołować, który pieniąż mu dawał, prezenty liczne materialne i duchowe podarował, paplał wszem i wobec, że mięsa już nie chce na jakiegokolwiek danie, że wyjedzie stąd prędko, do republik bananowych, że od teraz jest wegetarianem.

MC OSIEDLE Bum! Nie wytrzymał Twardowski, giwerę wyciągnął, między oczy celował, za spust pociągnął, zimną krew zachował, ani przy tym drgnął, w szaleństwo zimne pobrnął, prawie sople lodu pod nosem zaciągnął, i leżała między mięsami Piękna Edyta, zimna już teraz, skóra i kości, w pełnej bledości, tak się jej historia domyka. Piękno szybko przemijawszy, gdy pod twarz gładką, jadu, trucizn się nałyka, zła nachapawszy, a tak to. Z liców krwi ślady odpływają. Com ja zrobił, gdzieś ja zalaż, o ja słaby, taki ambaras, ambaras, głupawy wierszyk do sytuacji niestosowny w głowie mu przychodzi wraz, i myśli o Meksyku, i rzygać mu się chce znów zaraz, co ja jadłem, jakiej się oddałem konsumpcji, gdybym wiedział, nie wziąłbym do ust ani mini, mini uncji. „Twardowski”, pies pogodnie krzyczy, „chodźmy stąd, dosyć już, przestań się mazgać i byczyć, trzeba do Kraka starego to zgłosić”, zaraz zaraz, zanim opuści ten barak, musi o odpowiedź prosić, a jaka rola twoja, skąd wiedzieć mam, że mnie

nie kokosisz, z łgarstwem psim zapchlonym się nie obnosisz. „Jak to, jam to zwłoki z tej rzeźni wytargiwał, by ktoś reakcję podjął, trudno było przy tych wszystkich dobrach i divach.” Racja ino, pokąsane zwłoki były, przypomina sobie ze zzieleniałą z zawrotów głowy miną, od skrętów ma już bóle szyi, „ty jesteś Twardowski bohaterem, a imię twoje to szczęście moje, bo jestem seterem, a ty możesz być mym przyjacielem”. Bohater nasz patrzy, oczom nie dowierza, czemu wcześniej tego nie widział, oczami duszy nie dostrzegał, czas w przestrzeni ktoś odmierza, cyk cyk, słychać niemalże tykanie, czasoprzestrzennej połąci naginanie, jaki to piękny piesek, piesek nie byle jaki, a jaki, to psina poczwiwina, jaka śliczna jej mina, Twardowski znów nie wie, co się dzieje, włosy czworonoga lokowane, tapirem nie styrane, ale naturalnie przez Matkę Naturę czesane, Twardowski mimicznie trochę, gdy widzi, to psina wyśniona, o bekonach ludzkich zapomina powoli, mina coraz bardziej rozweselona na twarzy naszego gieroja, już się bać nie boi, a ona, ona patrzy i oko puszcza „aha, a tak w ogóle mam na imię Sonia”.

Sonia...

Sonia...

Sonia!

O radości iskro bogów, połączyły się wtem ludzkie historie i historie czworonogów, i zaczęły się erupcje miłości międzygatunkowej, nie wołajcie patologów, także dziwaczne opowiadki dla potomności, bardziej pasujące do alkowy, do not enter, prywatnych jakichś włości, wszystko stanęło w świecie Twardowskiego na głowie, tak zadziałało emocji mrowie, i odeszli w kierunku słońca zachodzącego, jak świat starego, a nie przepraszam inteligencję, niż świat starszego, i trzymali się za łapy, bo pies miłości w sobie wiele miał, takie z nich dwa wariaty. Chadzali ulicami Nówki przez czas jakiś, póki nie wyjechali gdzieś w lepsze może jeszcze kosmiczne światy, pędząc jak meteor, szerząc swój confiteor, obojętnie mijając szereg galaktyk, przystanki robiąc na raty, odgarniając z czoła spoconego kosmyk, ale nie spoczęli, póki tego, co tu zastali, nie ulepszyli, nie zaznaczyli tutaj swych osiągnięć i odkryć, nie tracąc ani chwili, ani godzinki, ani mili, kąty tutaj wygładzili, tak tak. Teraz idą spacerkiem przez Nówkę jeszcze nowszą, zbrodni wyzbytą, ale lepszą, prostsza, o, mięsnych się tutaj już wyzbyto, dzieci w końcu w normie BMI mają, może nie wyglądają jeszcze jak zombie, niech ci nie będzie żal ich, trochę im do tego brakuje, choć pietruszkę jedynie wpięprzają, ale z pewnością są bardziej fit, generalnie z dziećmi jest git, w kolorystyce twarzy zielone może, co, znowu myślicie, że wciskam wam kit, o nie, jak ktoś ciężko orze i siedzi na dworze, to takie barwy na twarz wystąpić mogą, o mój święty człowieczy Boże. Ludki tutejsze już nie takie pękate, wory z brzuchów zniknęły, przeniosły się teraz a gdzież to, na facjate, pod oczami zwisają, ze zmęczenia, chleb tutaj w końcu cienko krajają, dziurawy tak, że konstelacje gwiazdne można przez niego oglądać jakby baba siała mak, panią jedną, co pół wagi straciła a może i całą,

wichrzysko poniosło, szła z parasolem a ciężar nie ten już, więc ją gdzieś w inną dzielnicę zaniósł, porwało, mięcha na wypasie już nie ma, jak w reszcie kraju w końcu jest, norma, reforma, historia, poemat. A co to, Lenin, Leninek nasz kochany, jakiś naruszony, dziwnie zwichrowany, włos nieprzeczesany, niby tupecik miał na łepety nie źle dobrany, Lenin taki pochylony, już nie tak bardzo na twarzy i w brzuszku swym zadowolony, czemu taki krzywy, pałakowaty, nie taki już krasiwý, coraz bardziej do ziemi przyklejony, już nie wygląda jak żywy, jak ślimak rogaty pełźnie po ziemi teraz, i myśli o czasach wymarzonych, wygasłych jupiterach, i tylko na gwiazdę kątem oka spogląda, błada gwiazdeczka, już Supernova nie mruga tak mocno, na tle nieba już się tak nie wyróżnia, blade wygląda, może by jej jakiś farmaceutyk dać na to, ale za późno już, przepadło, blasku nie ma, finito, koniec z epoką sentymentu, całą na bogato. Kiedyś gwiazda tu znowu zawita, inna może, lepsza, mruczy, wypatrujcie jej, kiedy będzie świtać, nad ranem, gdy wszyscy spać będą, przykryci przez nocy atrament, wszędzie nad kleksy nocne, ponad chmur firanę, i da znów upust swym popędom, pędząc wściekle, w ognia zimnego szale, gazów i pyłu nawale.

A w dupie mam to wszystko, już się nagadałem, ple ple, śliną natryskalem, nie wiem, ludki kochane, czy was zainteresowałem, jak ktoś wyszedł, to trudno, see you later, nie było chyba nudno, trup się ścielił, jak koty na pościeli całej, chyba że jak pościeliłem, tak widownię pospałem, to macie jeszcze, na koniec w tym szale

B U M.